

Leszek Żuliński

Faust pisze do Piotra Kuncewicza

Pytasz mnie o braterstwo krwi, wspólny
rytm serca,
lęk w oczach, źródło i powód pragnienia,
skowyt
wyrwyjący się każdej nocy w rozmowach
z sufitem,
pytasz, dlaczego na widok gładkiej skóry
i rzeźkiego powabu
Małgorzaty mdlejemy w środku siebie
z zachwytu i wściekłej niemocy,
nagle wyrasta w nas dwudziestoletni
chłopiec
biegnie ku niej i uderza głową w mur
głuchego ciała.

Odpowiedź, Piotrze, jest prosta:
od kiedy staliśmy się wyznawcami prawdy
i piękna,
pozyskaliśmy zdolność wzruszenia się
zachodem słońca
nad winnicami Badenii,
zdolność zaptakania nad butwiejącym jeżem
znalezionym w zakątku jesiennego ogrodu,
zdolność niemego zachwytu kształtną głową
flaminga,
która nagle okazuje się dłonią tancerki
sięgającej po rąbek szyfonowej kryzy,
od kiedy zrozumieliśmy, że zrywając jabłko
z jabłoni
niszczymy wszechświat jabłka, a zjadając je
trawimy rajski owoc i wkraczamy
w zastygłą rzekę Mitu,
nie mogliśmy już potem
od tych wszystkich wielkich i małych zdarzeń
powrócić do siebie, cieszyć się sobą, sycić
w lustrze; nasza skóra była jak zdjęta
z nosorożca,
elephantiasis cielska raził nieociosaną bryłą,
wszystko w nas krzychało odrażającym
uwiązaniem
zapomnianej młodości.

Ale byliśmy przecież już wtedy władcami
królestw,
opaste księgi meblowały nasze wnętrza,
ich safjan gładził bunt i obyczaj, jakie
zbieraliśmy latami
w borach żywota, świat rozsypywał przed
nami swoje rozdroża,
dorzecza wielkich mitów znajdowały ujście
w deltach słów,
legenda Europy kładła się przed nami
brzuchem do góry jak potulna lwica
i tylko jedno okazało się nieosiągalne:
pępek Małgorzaty,
to magiczne epicentrum świata,
w którym chcieliśmy jak w studni Artemidy
znaleźć cudowne orzeźwienie,
nie wiedząc, że bierze nas w swoje ręce
zimna dawczyni nagłej śmierci, syrena
faustów,
frigida zenitu wzywająca w sam środek

kipieli
i pożerająca nas kawałek po kawałku jak
harpia,
która wyrwywa rybki życia z wód płodowych
nadziei.

Łączy nas, Piotrze, to samo,
to samo aż do znudzenia dzieje się bez zmian,
od pryncasów, epok, pokoleń budujemy
gmachy wiedzy,
ustawiamy słowo na słowie,
warga nam drży z przejęcia, gdy natrafiamy
na samorodek
metafory, stukaratowy symbol, kryształowe
przesłanie,
ale żaden poryw sztuki, żaden wysiłek dnia
nie jest nic warty,
jeśli pod wieczór nie możemy wrócić do łona
niewiasty,
zwinąć się w embrion, zasnąć chłopięcym
snem,
by rano obudzić się do nowego czynu.

Dlatego starzejemy się, wiotczujemy,
ręce nam opadają,
świat z nas odpływa,
Małgorzaty za naszymi plecami
kreślą sobie palcem kółka na czole
i puszczają się z efebami,
z którymi płodzą nowych faustów,
a zamroczony los zatacza się od ściany do
ściany
da capo al fine.

Smak Małgorzaty

Jest gorzka;
kiedy gwiazda piołun świeci nad jej głową,
piję absynt i przetykam łyż.

Jest słona,
gdy z morza martwego niosę do jej nóg
wyżartą do białości muszlę moich snów.

Jest słodka,
zwłaszcza gdy w paroksyzmach nocy
wyrzuca z siebie imiona innych mężczyzn;

najbardziej lubię, gdy marcepanowa –
wtedy zapomina o całym świecie
i patrzy na mnie jak dziecko
lub łakoma lwica.

Postać tragiczna

jest jedną z nas

mijamy ją w tłumie,
przysiadamy się do niej w pociągu
lub tramwaju, na ławce w parku,
gdziekolwiek

nie zwracamy na nią uwagi

ale gdy się przyjrzeć – łatwo ją rozpoznać,
jest podobna do Antygony, Elektry, Edypa,
owiewa ją daleki zefir antyku,
twarz ma mroczną jak bitumity
nad Morzem Martwym,

nieruchomą, zastygłą,
z pustymi oczami,
w kąciach ust – piołun

nasze proste ścieżki życia
są dla niej labiryntem

stoi w miejscu, nie szuka światła,
czasami pyta się Wyroczni:
dlaczego ja?

I co teraz?

I co teraz? – zapytała Małgorzata,
kiedy wyrzuciła mnie ze swojej poczekalni,
pozbawiła nadziei, odarła ze złudzeń,
zepchnęła na dno pustki, pozbawiła prawa
do,

straciła z ostatniego szczebla,
strzepnęła z siebie w czasie wspinaczki,
przegoniła, wyzuła, wyzbyła,
zastosowała najwyższą instancję odmowy,
zatrasnęła drzwi swojego ciała.

Poradź Edypie,
poradź Syzyfie,
poradź Tantalowi.

Znowu razem piszemy
ten antyczny dramat niespełnienia,
choć żadnej tu jedności
miejsca, akcji i czasu.

I co teraz?

Nie mam wyjścia, Małgorzato:
Edyp nauczy mnie chodzić po omacku,
Syzyf pchać kamień, który spada,
Tantal – przeżyć bez krynicy twojej miłości
i brzoskwiń twego powabu.

Nie musisz tego rozumieć,
tak jak ja nie pojmuję banicji;

róbmy swoje: rozmijajmy się,
może po to zetknął nas Los,
aby badać chemię faustyzmu,

stężenie siarki
w oparach absurdu.

Démon de midi

Boże, to przecież miało być popołudnie
fauna,

a jest infernum demonów,
miały być Laury i laury,
a tu wypełzają larwy, szczerzą się maskary,
ze stłuczonego zwierciadła losu wyskakują
Quasimodo o oczach bazyliuszka,
wiesza się na mojej aorcie
i tak kołysze dzwonem,
że aż serce pęka.

